

JEDNA Z 10 NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK 2009 ROKU WEDŁUG
„Suspense Magazine”

LISA GARDNER SĄSIAD

Kobieta, która niespodziewanie znika.
Dziecko, które widziało zbyt wiele.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
THE NEIGHBOR

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2009
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Monika Wiśniewska 2011

Korekta: Dorota Jakubowska, Jolanta Rososińska

Zdjęcie na okładce: © Joanna Czogala/Arcangel.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

ZAWSZE MNIE CIEKAWIŁO, CO czują ludzie w kilku ostatnich godzinach życia. Czy wiedzą, że lada chwila wydarzy się coś strasznego? Wyczuwają zbliżającą się tragedię, nie odstępują na krok swoich najbliższych? A może to jedna z tych rzeczy, które po prostu się dzieją? Matka czwórki dzieci kładąca je do łóżek, martwiąca się poranną podwózką do szkoły, czekającym na nią koszem brudnej bielizny i dziwnym dźwiękiem, jaki znowu wydaje piec, do której uszu dobiega pełne grozy skrzypnięcie z korytarza na parterze. Albo nastolatka, która snuje marzenia o sobotniej wyprawie na zakupy z najlepszą przyjaciółką, otwierająca oczy, by się przekonać, że nie jest już sama w pokoju. Albo ojciec wyrwany ze snu i myślący: „Co się, kurwa, dzieje?”, tuż przed tym, jak młotek trafia go między oczy.

W ciągu sześciu ostatnich godzin świata, jaki znam, daję Ree kolację. Makaron z serem firmy Kraft, a na wierzchu kawaleczki parówki z indyka. Kroję w plastry jabłko. Ree zjada kruchy, biały miąższ, zostawiając półksiężyc czerwonej skórki. Mówię jej, że to właśnie w skórcie znajdują się wszystkie składniki odżywcze. Przewraca oczami – czterolatka, a zachowuje się, jakby miała lat czternaście. Klócimy się już o ubrania – jej się podobają krótkie spódniczki, jej ojciec i ja wolimy długie sukienki, ona chce bikini,

my upieramy się przy stroju jednoczęściowym. Tak sobie myślę, że to kwestia tygodni, nim zażąda kluczyków do samochodu.

Potem Ree chce się pobawić na strychu w „poszukiwanie skarbów”. Mówię jej, że pora na kąpiel. Wchodzimy razem do starej wanny na nóżkach w łazience na piętrze, tak jak to mamy w zwyczaju, odkąd była mała. Ree namydla dwie lalki Barbie i jedną gumową kaczkę. Ja namydlam ją. Na koniec obie pachniemy lawendą, a wszystko w czarno-białej łazience jest zaparowane.

Lubię nasz pokąpielowy rytuał. Otulamy się wielkimi ręcznikami, a potem wychodzimy na chłodny korytarz i ruszamy prosto w kierunku Wielkiego Łóżka w sypialni mojej i Jasona, gdzie z bosymi stopami kładziemy się obok siebie, tak że lekko się dotykamy. Nasz rudy pręgowany kot, Pan Smith, wskakuje na łóżko i przygląda się nam wielkimi bursztynowymi oczami, a jego długi ogon lekko drga.

– Co ci się dzisiaj najbardziej podobało? – pytam córkę.

Ree marszczy nosek.

– Nie pamiętam.

Pan Smith odsuwa się od nas. Znajduje sobie miłe, wygodne miejsce przy wezgłowie i zaczyna się mościć. Wie, co będzie dalej.

– Mnie najbardziej podobał się powrót ze szkoły do domu i nasze przytulanki.

Jestem nauczycielką. Mamy dziś środę. W środy wracam około czwartej, Jason wychodzi o piątej. Ree zdążyła się już przyzwyczaić do takiego cyklu. Tatuś w ciągu dnia, mamusia wieczorem. Nie chcieliśmy, aby ktoś obcy wychowywał nasze dziecko, i udało się.

– Mogę obejrzeć film? – pyta Ree. Zawsze o to pyta. Nie odrywataby się od telewizora, gdybyśmy jej na to pozwolili.

– Żadnego filmu – odpowiadam lekko. – Opowiedz mi, co w przedszkolu.

– Krótki film – rzuca. Po czym dodaje triumfująco: – Veggie Tales!

– Żadnego filmu – powtarzam, wystawiając rękę spod ręcznika i łaskocząc ją pod brodą. Już prawie ósma i wiem, że Ree jest zmęczona, choć uparta. Nie chcę dopuścić do napadu złości tak krótko przed pójściem spać. – No to opowiedz, co w przedszkolu. Co dziś jadłaś na drugie śniadanie?

Też wystawia rękę i łaskocze mnie pod brodą.

– Marchewki!

– Tak? – Teraz łaskotanie za uchem. – Kto je przyniósł?

– Heidi!

Próbuje dosięgnąć moich pach. Zręcznie blokuję dostęp.

– Plastyka czy muzyka?

– Muzyka!

– Śpiewanie czy granie?

– Gitara!

Zrzuca z siebie ręcznik i skacze po mnie, łaskocząc szybkimi paluszkami, gdzie się tylko da, ostatni przypyływ energii przed wieczornym padnięciem. Udaże mi się strząsnąć ją z siebie i ze śmiechem turlam się w stronę brzegu łóżka. Z głuchym odgłosem ląduję na drewnianej podłodze – Ree jeszcze głośniejsze chichocze, a Pan Smith miauczy w proteście. Czmycha z sypialni, nie mogąc się doczekać dokończenia naszego wieczornego rytuału.

Znajduję długi T-shirt dla siebie i koszulę nocną z książniczką Ariel dla niej. Myjemy razem zęby przed owalnym lustrem. Ree lubi, jak synchronicznie płujemy. Po dwóch bajkach, jednej piosence i połowie broadwayowskiego przedstawienia w końcu otulam ją kołderką. Tuli do siebie króliczka maskotkę, a Pan Smith śpi skulony w nogach łóżka.

Ósma trzydzieści. Nasz mały dom należy teraz do mnie. Rozsiadam się w kuchni. Sącę herbatę, oceniam prace uczniów, siedzę plecami do komputera, żeby mnie nie kusił. Zegar z kotkiem, który Jason kupił kiedyś Ree na Gwiazdkę, o pełnej godzinie wyduje z siebie miauknięcie. Dźwięk ten odbija się echem wśród

ścian piętrowego budynku z lat pięćdziesiątych, przez co przestrzeń wydaje się jeszcze bardziej pusta, niż jest w rzeczywistości.

Mam zimne stopy. W marcu w Nowej Anglii dni są jeszcze chłodne. Powinnam włożyć skarpetki, ale nie chce mi się wstawać.

Dziewiąta piętnaście. Robię zwyczajowy obchód. Rygluję drzwi od strony ogrodu, sprawdzam drewniane słupki wciśnięte w każdą ramę okienną. Na koniec podwójny rygiel przy stalowych drzwiach wejściowych. Nasz dom znajduje się w południowej części Bostonu, w skromnej okolicy zamieszkaney przez klasę średnią, z przyjaznymi rodzinom parkami i ulicami wysadzanymi drzewami. Mnóstwo dzieci, mnóstwo białych parkanów.

Sprawdzam zamki i mimo wszystko rygluję okna. Zarówno Jason, jak i ja mamy ku temu powody.

Następnie znowu stoję przed komputerem i ręce mnie świerzbą. Mówię sobie, że pora iść do łóżka. Zabraniam sobie siadania do komputera. Ale wiem, że najpewniej i tak to zrobię. Tylko na chwilę. Przeczytam kilka maili. Co w tym złego?

W ostatniej chwili odnajduję w sobie siłę woli, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Wylączę komputer. Kolejna zasada obowiązująca w naszej rodzinie: przed pójściem spać komputer musi być wyłączony.

Komputer to portal umożliwiający dostanie się do waszego domu. Wiecie o tym.

Jeśli nie, wkrótce to zrozumiecie.

Dziesiąta. Zostawiam światło w kuchni dla Jasona. Nie zadzwonił, ma więc pewnie pracowitą noc. Nie szkodzi, mówię sobie. Praca to praca. Wygląda na to, że coraz więcej między nami milczenia. Tak już czasem bywa. Zwłaszcza kiedy ma się małe dziecko.

Ponownie myślę o lutowych wakacjach. O rodzinnym wyjeździe, który był albo najlepszą rzeczą, jaka nam się przytrafiła, albo najgorszą, zależnie od punktu widzenia. Chcę to zrozumieć.

Zrozumieć męża i siebie. Bywa, że nie da się odkręcić tego, co się zrobiło, nie da się cofnąć raz wypowiedzianych słów.

Nie jestem w stanie rozwiązać tego dzisiaj wieczorem. Prawdę mówiąc, nie potrafię tego zrobić od tygodni, co zaczęło mnie napawać coraz większym przerażeniem. Kiedyś szczerze wierzyłam w to, że sama miłość może wszystko naprawić. Teraz jestem mądrzejsza.

U szczytu schodów zatrzymuję się przed pokojem Ree, żeby ostatni raz rzucić na nią okiem. Ostrożnie uchylam drzwi i zaglądam do środka. Pan Smith odpowiada mi spojrzeniem złocistych oczu. Nie podnosi się, za co go wcale nie winię, bo jest mu tam całkiem przytulnie. Ree, skulona pod różowo-zieloną kołderką w kwiaty, ssie kciuk, na poduszce leżą rozsypane ciemne loki. Znowu wydaje się malutka jak dziecko, które przysięgłabym, że urodziłam zaledwie wczoraj, a jednak jakimś cudem od tamtego dnia minęły cztery lata i moja córka sama się ubiera, sama je i dzieli się z nami swoimi opiniami na temat życia.

Myszę, że ją kocham.

Myszę, że „miłość” to słowo nieadekwatne do tego, co czuję.

Drzwi są uchylone dla Ree. Światło na korytarzu jest włączone dla Jasona.

Wieczorny rytuał można uznać za zakończony. Wszystko jest tak, jak być powinno.

Kładę się na boku, z poduszką między kolanami, dłońią ułożoną na biodrze. Wpatruję się we wszystko i jednocześnie w nic. Myszę o tym, że jestem zmęczona i że schrzaniłam sprawę, i że szkoda, że Jasona nie ma w domu, a może jednak dobrze, że go nie ma, i że muszę coś wymyślić, tylko nie mam pojęcia co.

Kocham swoje dziecko. Kocham męża.

Jestem idiotką.

I przypomina mi się coś, o czym nie myślałam już od miesięcy. To nie tyle wspomnienie, ile zapach: płatki róż, pogniecione, gnijące, rozkładające się pod oknem mojego pokoju w upale

charakterystycznym dla Georgii. Gdy tymczasem zaciemnionym korytarzem płynie głos mamy: „Wiem coś, o czym wy nie wiecie...”.

– Ćśśś, ćśśś, ćśśś – szepczę teraz. Obejmuję dłonią brzuch i zbyt intensywnie myślę o tym, o czym przez większą część życia próbowałam zapomnieć. – Ćśśś, ćśśś, ćśśś – próbuję raz jeszcze.

I wtedy słyszę jakiś dźwięk u dołu schodów...

CHCIAŁABYM MÓC WAM POWIEDZIEĆ, że w ostatnich chwilach świata takiego, jaki znam, usłyszałam w ciemnościach pobukiwanie sorwy. Albo że zobaczyłam przeskakującego przez płot czarnego kota. Albo że poczułam, jak włoski na karku stają mi dęba.

Chciałabym móc wam powiedzieć, że dojrzałam niebezpieczeństwo i że stoczyłam zaciętą walkę. W końcu ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie ja powinnam rozumieć, jak łatwo miłość przeradza się w nienawiść, pożądanie w obsesję. To właśnie ja powinnam to przewidzieć.

Tak się jednak nie stało. Naprawdę.

I niech Bóg ma mnie w swojej opiece, ale kiedy w pogrążonych w półmroku drzwiach sypialni zmaterializowała się jego twarz, moją pierwszą myślą było to, że jest równie przystojny jak wtedy, kiedy się poznaliśmy, i że nadal miałabym ochotę dotknąć jego twarzy, zanurzyć palce w gęstych włosach...

Następnie, dostrzegając, co znajduje się w jego ręce, pomyślałam, że nie wolno mi krzyczeć. Muszę chronić córkę, najdroższą córkę śpiącą spokojnie na drugim końcu korytarza.

Wszedł do sypialni. Uniósł obie ręce.

Przysięgam, że nie wydałam z siebie żadnego dźwięku.

Rozdział 2

DETEKTYW SIERŻANT D.D. WARREN uwielbiała porządne bary typu „jesz, ile chcesz”. Nie chodziło jej o makaron – zwykły wypełniacz – jeśli można było zjeść pieczeń. Nie, na przestrzeni lat wypracowała strategię doskonałą: punkt pierwszy, bar sałatkowy. Nie żeby była zagorzałą fanką sałaty lodowej, ale jako trzydziestoparoletnia singielka i jednocześnie pracoholiczka, nie napychała swojej lodówki łatwo psującym się jedzeniem. A więc owszem, pierwszym celem okazywały się zazwyczaj jakieś warzywa, w przeciwnym wypadku – zważywszy na jej nawyki żywieniowe – pewnie nabawiłaby się szkorbutu.

Punkt drugi: cienko krojone mięso. Indyk był w porządku. Pieczona w miodzie szynka jeszcze lepsza. Ale dopiero krwista pieczeń wołowa zasługiwała na złoty medal. D.D. lubiła, kiedy środek był czerwony i mocno krwisty. Jeśli mięso nie podsłakiwało lekko, gdy kłuła je widelcem, znaczyło to, że ktoś w kuchni popełnił zbrodnię przeciwko wołowinie.

I tak by je oczywiście zjadła. W barze typu „jesz, ile chcesz” wygórowane standardy należy zostawić przed drzwiami.

No więc mała sałatka, następnie kilka cienkich plasterków krwistej pieczeni. Teraz bezmyślny ćwok nieuchronnie

dorzuciłby do mięsa ziemniaki. Nigdy! Lepiej wybrać smażonego w panierce łupacza, może trzy albo cztery pieczone małże, no i oczywiście krewetkę na zimno. Potem należy się zastanowić nad warzywami sauté albo może zapiekanką z fasolki szparagowej z chrupiącą cebulką na wierzchu. Dopiero to można nazwać posiłkiem.

Deser stanowił, rzecz jasna, bardzo ważną część procesu barowego. Sernik należał do tej samej kategorii co ziemniaki i makaron – taki błąd popełniają tylko żółtodzioby. Lepiej zacząć od puddingu albo chipsów owocowych. No i podobno zawsze w żołądku jest miejsce na galaretkę. Albo mus czekoladowy. I crème brûlée. Z malinami. Bomba!

O tak, chętnie by spałaszowała crème brûlée.

To nieco smutne, jako że była dopiero siódma rano, a jedyną jadalną rzeczą, jaką miała w swoim łofcie w North End, była torebka mąki.

D.D. przekreśliła się na drugi bok, czując, jak burczy jej w brzuchu, i udawała, że to jedyna część jej ciała, która jest głodna.

Poranek za oknem wyglądał na szary. Kolejny zimny marcowy dzień. Normalnie o tej porze znajdowałyby się już w drodze do pracy, ale wczoraj zakończyła trwające dwa miesiące intensywne śledztwo w sprawie strzałów oddanych z jadącego samochodu – kule trafiły dobrze się zapowiadającego dilerka narkotyków oraz matkę i dwójkę jej małych dzieci. Jakby tego było mało, do strzelaniny doszło zaledwie trzy przecznice od komendy bostońskiej policji w Roxbury.

Prasa oszałała. Okoliczni mieszkańcy codziennie organizowali pikietę, żądając bezpieczniejszych ulic.

Komendant natychmiast utworzył liczny oddział specjalny, dowodzony oczywiście przez D.D., ponieważ jakimś cudem na ładną białą blondynkę nie spadało aż tyle gromów, co na

kolejnego nadętego faceta w garniturku.

D.D. to nie przeszkadzało. Kurczę, była w swoim żywiole. Błyski fleszy, rozhisteryzowani obywatele, czerwoni na twarzy politycy. Proszę bardzo. Poddawała się publicznej chłości, a potem chowała za zamkniętymi drzwiami ogarnięta prawdziwą gorączką śledczą i dawała popalić swojej ekipie. Jakiś dupek sądził, że może na jej służbie zmasakrować całą rodzinę? Nie ma, kurwa, mowy.

Sporządzili listę domniemanych podejrzanych i wzięli się ostro do roboty. No i proszę: sześć tygodni później wdarli się do przeznaczonego do rozbiórki magazynu niedaleko nadbrzeża i wyciągnęli swojego ptaszka z ciemnych zakamarków na ostre słońce, gdzie kamerzyści zwijali się jak w ukropie.

Ona i jej ekipa staną się bohaterami na jakieś dwadzieścia cztery godziny, potem pojawi się następny idiota i cały cykl się powtórzy. Taki już jest ten świat. Nasrać, wytrzeć, spuścić wodę. Znowu nasrać.

D.D. westchnęła, przekreśliła się na drugi bok, przejechała dłonią po pościeli o grubym splocie i znowu westchnęła. Powinna wstać. Wziąć prysznic. Poświęcić trochę czasu na zrobienie prania i ujarzmienie bałaganu, jaki panował w jej mieszkaniu.

Znowu pomyślała o barze. I seksie. Takim naprawdę ostrym, głośnym, wyczerpującym seksie. Miała ochotę na to, żeby jej dłonie zaciskały się na twardym jak skała tyłku. Pragnęła, aby stalowe ramiona otaczały jej biodra. Chciała, żeby jej uda drapał męski zarost, gdy tymczasem ona rozrywałaby paznokciami na strzępy tę luksusową pościel.

Niech to szlag trafi. Odrzuciła koldrę i wyszła z sypialni jedynie w T-shircie, majtkach i z uczuciem seksualnej frustracji.

Posprząta mieszkanie. Pójdzie pobiegać. Zje tuzin pączków.

Poszła do kuchni, wyjęła z lodówki puszkę z kawą w

ziarnach, znalazła młynek i zabrała się do roboty.

Miała trzydzieści osiem lat, na litość boską. Była oddanym oficerem śledczym i zagorzałą pracoholiczką. Czuła się nieco samotna bez mężusia i dwójki biegających po domu bachorów? Teraz już za późno na zmianę reguł.

Wsypała świeżo zmieloną kawę do małego złotego filtra i pstryknęła włącznik. Włoska maszyna obudziła się do życia i unoszący się w powietrzu zapach espresso nieco ją uspokoił. Wyjęła mleko, żeby je spienić.

Ten loft w North End kupiła trzy miesiące temu. Zdecydowanie zbyt fajny jak dla gliniarza, ale takie były uroki załamania na bostońskim rynku mieszkaniowym. Deweloperzy go zbudowali, popytu nie było. Dzięki temu do pracusiów pokroju D.D. nagle uśmiechnęło się szczęście. Podobało jej się tutaj. Otwarta przestrzeń, przestronnie i widno, minimalistycznie. Kiedy znajdowała się w domu, to wystarczało, by zaczynała myśleć, że powinna tu przebywać częściej. Co wcale nie znaczy, że tak właśnie robiła.

Skończyła parzyć latte i podeszła do rzędu okien wychodzących na całkiem ruchliwą ulicę. Nadal niespokojna, nadal podminowana. Lubiła ten widok. Ruchliwa ulica, spieszący się ludzie. Mnóstwo przechodniów ze swoimi nagłymi potrzebami, z których żaden jej nie widział, nie przejmował się nią i nic od niej nie chciał. Nie była na służbie, a życie i tak toczyło się dalej. Niezła lekcja dla kobiety jej pokroju.

Dmuchinięciem odsunęła na bok część pianki, wypila kilka łyków aromatycznego napoju i poczuła, że część napięcia nieco odpuszcza.

W ogóle nie powinna była iść na ten ślub. O to właśnie chodziło. Kobieta w jej wieku powinna bojkotować wszystkie śluby i przyjęcia z okazji narodzin dzieci.

Cholerny Bobby Dodge. Autentycznie nie mógł wydobyć z siebie głosu, kiedy wygłaszał słowa przysięgi małżeńskiej. A Annabelle, taka śliczna w białej sukni bez ramiączek, się popłakała. No i jeszcze Bella, suka, przeszła przez kościół z dwiema złotymi obrączkami przywiązanymi do obroży z ogromną kokardą.

Jak człowiek, do licha, miał się choć trochę nie wzruszyć przy czymś takim? Zwłaszcza kiedy rozbrzmiała muzyka i wszyscy zaczęli tańczyć w rytm *At Last* Etty James, oczywiście z wyjątkiem ciebie, ponieważ tak cholernie dużo pracowałaś, że nie miałaś czasu znaleźć osoby towarzyszącej.

D.D. przełknęła więcej kawy, przyjrzała się pędzącym w dole zajęтым ludziom i zmarszczyła gniewnie brwi.

Bobby Dodge się ożenił. O to właśnie chodziło. Znalazł kogoś lepszego od niej i teraz był już po ślubie, a ona...

Jasna cholera, naprawdę potrzebowała porządnego seksu.

ZAWIĄZYWAŁA SZNUROWADEŁA W BUTACH do biegania, kiedy zadzwoniła jej komórka. D.D. zerknęła na wyświetlacz, uniosła brwi i przyłożyła telefon do ucha.

– Detektyw sierżant Warren – rzuciła energicznie.

– Dzień dobry, pani sierżant. Mówi detektyw Brian Miller, dystrykt C-sześć. Przepraszam, że przeszkadzam.

Wzruszyła ramionami i czekała. Detektyw jednak nie zaczął mówić dalej, zachęciła go więc:

– W czym mogę pomóc, detektywie Miller?

– Cóż, mam problem... – zaczął i ponownie umilkł, a D.D. czekała.

Dystrykt C-6 bostońskiej policji obejmował południową część Bostonu. Jako detektyw sierżant wydziału zabójstw niezbyt często miała okazję pracować z gliniarzami z C-6. W

południowym Bostonie, zwanym przez miejscowych Southie, raczej nie dochodziło do zabójstw. Kradzieże, włamania, napady – owszem. Zabójstwa – naprawdę rzadko.

– O piątej rano odebrano zgłoszenie – odezwał się wreszcie Miller. – Mąż po powrocie do domu odkrył, że zaginęła jego żona.

D.D. uniosła brew i usiadła wygodniej na krześle.

– Wrócił do domu o piątej nad ranem?

– Zgłosił jej zaginięcie o piątej. Mąż to Jason Jones. Coś to pani mówi?

– Powinno?

– Reporter z „Boston Daily”. Jego rewir obejmuje południowy Boston, pisuje też obszerniejsze artykuły o tematyce miejskiej. Podobno pracuje w większość wieczorów. Opisuje posiedzenia rady miejskiej i zarządu, tego typu rzeczy. A wczoraj polecono mu zająć się pożarem. W każdym razie skończył koło drugiej w nocy i wrócił do domu, gdzie czteroletnia córka spała w swoim pokoju, żony jednak nie było.

– Okej.

– Najpierw podjęto rutynowe działania – kontynuował Miller. – Sprawdzono teren wokół domu. Samochód na ulicy, portfel kobiety i kluczyki na kuchennym blacie. Nie ma śladów włamania, ale w sypialni jest potłuczona lampka nocna i brakuje niebiesko-zielonego koca.

– Okej.

– Zważywszy na okoliczności, mama zostawiająca dziecko samo w domu i tak dalej, policjanci zadzwonili do swojego przełożonego, a ten skontaktował się z moim szefem. Kilka ostatnich godzin spędziliśmy na przeczesywaniu okolicy, sprawdzaniu miejscowych sklepów, odnajdywaniu przyjaciół i krewnych... Krótko mówiąc, nie mam żadnego tropu.

– Macie ciało?

- Nie.
- Ślady krwi? Odciski palców, zniszczenia?
- Tylko potłuczona lampa.
- Przeszukano cały dom? Poddasze, piwnicę, kanały wentylacyjne?
- Staramy się.
- Staracie się?
- Mąż... nie przeszkadza wprawdzie, ale nie można powiedzieć, żeby współpracował.
- Cholera. – I nagle D.D. zrozumiała, dlaczego detektyw z Dystryktu C-6 dzwoni do detektyw sierżant z wydziału zabójstw w sprawie zaginionej kobiety i dlaczego detektyw sierżant nie pójdzie teraz pobiegać. – Pani Jones... jest młoda, biała i piękna, prawda?
- Dwudziestotrzyletnia blondynka, nauczycielka. Ma tego rodzaju uśmiech, który rozjaśnia ekran telewizora.
- Niech mi pan tylko nie mówi, że rozmawiał pan o tym przez radio.
- A jak pani myśli, dlaczego zadzwoniłem do pani na komórkę?
- Co to za adres? Niech mi pan da dziesięć minut, detektywie Miller. Już tam jadę.

D.D. ZOSTAWIŁA BUTY DO biegania w pokoju dziennym, spodnie dresowe w korytarzu, a bluzę w sypialni. Dżinsy, biała koszula, zabójcze kozaki i była gotowa do wyjścia. Do paska przypięła pager, na szyi powiesiła identyfikatory, do tylnej kieszeni wsunęła telefon komórkowy.

Ostatnia rzecz to ulubiona kurtka ze skóry w karmelowym kolorze, wisząca na wieszaku przy drzwiach.

Detektyw sierżant Warren ochoczo ruszyła w drogę, aby

wykonać swoją pracę.

POŁUDNIOWY BOSTON O DŁUGIEJ i bogatej historii, nawet jak na standardy bostońskie, z jednej strony otaczała tętniąca życiem dzielnica finansowa, a z drugiej oblewały wody oceanu. Miał cechy uroczego ośrodka portowego, a jednocześnie żyło się w nim jak w wielkim mieście. Teren ten początkowo zamieszkiwali ludzie usytuowani raczej na niższym poziomie skali socjoekonomicznej. Ledwo wiążący koniec z końcem imigranci, najczęściej Irlandczycy, upychający trzydziścioro ludzi do jednego pokoju w pełnych insektów czynszówkach, gdzie wiadro służyło za latrynę, a kupka słomy pełniła funkcję zapchlonego materaca. Życie było ciężkie i mieszkańcom dawały w kość choroby, robactwo i bieda.

Sto pięćdziesiąt lat później Southie oznaczało nie tyle miejsce, ile styl życia. Tu przyszedł na świat Whitey Bulger, jeden z najbardziej osławionych baronów bostońskiego półświatka. W latach siedemdziesiątych zamienił tę dzielnicę we własny plac zabaw, jedną połowę populacji uzależniając od narkotyków, a drugą zatrudniając. Mimo to ludzie się nie poddawali, sąsiad opiekował się sąsiadem, każde pokolenie twardych, sprytnych dzieciaków produkowało następne pokolenie twardych, sprytnych dzieciaków. Osoby z zewnątrz tego nie kumały, a miejscowym w ogóle to nie przeszkadzało.

Niestety, wszystkie style życia prędzej czy później daje się zmodyfikować. Pewnego roku wielka impreza portowa przyciągnęła tutaj hordy mieszkańców miasta. Przybyli, spodziewając się zapuszczonych ulic i rozlatujących się domów. Odkryli widok na ocean, mnóstwo parków i znakomite katolickie szkoły. Oto dzielnica, dziesięć minut od centrum Bostonu, gdzie najtrudniejszym wyborem w sobotni poranek

było to, czy skrócić w prawo i iść do parku, czy skrócić w lewo i poleniuchować na plaży.

Młodzi yuppies znaleźli agentów nieruchomości i w krótkim czasie stare osiedla przekształciły się w warte miliony apartamenty z widokiem na ocean, a trzypiętrowe domy, zamieszkiwane przez czwarte pokolenie, sprzedano deweloperom za pięć razy tyle, na ile wcześniej liczono.

Społeczność się wymieszała. Miks socjoekonomiczny i etniczny. Te same wielkie parki i wysadzone drzewami ulice. Doszło kilka kafejek. Irlandzkie puby pozostały. Więcej profesjonalistów pnących się po szczeblach drabiny społecznej. Nadal mnóstwo rodzin z dziećmi. Dobrze było tu mieszkać, jeśli się zdążyło coś kupić, nim ceny powariowały.

D.D., korzystając z GPS-u, dotarła pod adres podany przez detektywa Millera. Był to uroczy mały bungalow niedaleko nabrzeża, pomalowany na brązowo i kremowo, z trawnikiem wielkości znaczka pocztowego i pozbawionym liści klonem. W jej głowie pojawiły się dwie myśli naraz: ktoś zbudował bungalow w Bostonie? I druga: detektyw Miller był dobry. Pięć i pół godziny minęło od przyjęcia zgłoszenia, a jak na razie żadnej policyjnej taśmy odgradzającej, żadnych radiowozów i jeszcze lepiej – żadnych vanów z radia i telewizji. Dom wydawał się spokojny, ulica również. Przysłowiowa cisza przed burzą.

Detektyw sierżant trzy razy objechała okoliczne przecznice, nim w końcu zaparkowała kilka ulic dalej. Skoro Millerowi tak długo udało się utrzymać wszystko w tajemnicy, nie zamierzała tego psuć.

Idąc w stronę domu, zgarbiona i z rękami wciśniętymi do kieszeni, zobaczyła, że Miller już na nią czeka. Okazał się niższy, niż się spodziewała, miał rzadnące brązowe włosy i wąsy w stylu lat siedemdziesiątych. Wyglądał jak gliniarz, który byłby świetnym tajniakiem – tak nijaki, że nikt by nie

zwracał na niego uwagi, nie mówiąc o podejrzywaniu go o podsłuchiwanie ważnych rozmów. Miał bladą cerę kogoś, kto większość czasu spędza w świetle fluorescencyjnym. Urzędnik, pomyślała D.D. i natychmiast wstrzymała się z opiniami.

Miller przeciął trawnik i dołączył do niej. Szedł przed siebie, więc ona także. Czasami praca w policji wymaga nieco aktorstwa. Wyglądało na to, że dzisiaj odgrywali rolę pary, która wyszła na poranny spacer. Pomięty brązowy garnitur Millera był może nieco zbyt formalny, ale D.D., w wąskich džinsach i skórzanej kurtce, prezentowała się świetnie.

– Sandra Jones pracuje w gimnazjum – zaczął Miller. Mówił cicho i szybko. Minęli pierwszą przecznicę, kierując się w stronę nabrzeża. – Ma z szóstymi klasami wiedzę o społeczeństwie. Jest tam teraz dwóch naszych, ale nikt jej nie widział, odkąd wczoraj o wpół do czwartej wyszła ze szkoły. Odwiedziliśmy miejscowe sklepy, knajpy i nic. W zlewie stoją naczynia po kolacji. Stosik sprawdzonych kartkówek obok torebki na kuchennym blacie. Według słów jej męża Sandra zazwyczaj zabiera się do pracy dopiero po ósmej, po tym, jak położy ich córkę spać. Zakładamy więc, że była w domu razem z córką do jakiejś ósmej trzydzieści, dziewiętej. Telefon komórkowy nie wykazuje żadnej aktywności po szóstej. Właśnie wyciągamy z firmy telekomunikacyjnej rejestr połączeń z telefonu stacjonarnego.

– A co z rodziną? Dziadkowie, ciotki, wujkowie, kuzyni? – zapytała D.D. Słońce zaczęło się w końcu przebijać przez warstwę szarych chmur, temperatura się jednak nie zmieniła, a od wody wiał wiatr, wślizgujący się złośliwie pod skórzaną kurtkę.

– Żadnej rodziny na miejscu. Jedyne ojciec w Georgii, z którym nie utrzymują żadnych kontaktów. Mąż nie chciał skonkretyzować, oświadczył tylko, że to stare dzieje i nie mają

nic wspólnego z obecną sytuacją.

– Jak to miło ze strony męża, że za nas myśli. Dzwoniliście do ojca?

– Zrobiłbym to, gdybym znał nazwisko.

– Mąż nie chce podać nazwiska? – W głosie D.D. słychać było niedowierzanie.

Miller pokręcił głową, wciskając dłonie do kieszeni spodni. Z jego ust wydobywała się para.

– Niech pani poczeka, aż go pozna. Oglądała pani kiedyś taki serial medyczny?

– *Ostry dyżur*?

– Nie, ten, gdzie jest więcej seksu.

– *Chirurdzy*?

– Właśnie ten. Jak się nazywa ten lekarz? McDuff, McDevon...?

– McDreamy?

– Właśnie ten. Pan Jones mógłby być jego bratem bliźniakiem. Te zmierzwione włosy, całodzienny zarost... Kurde, w chwili kiedy ta historia trafi do mediów, facet zacznie dostawać więcej listów od fanów niż Scott Peterson. Myślę, że mamy jeszcze jakieś dwadzieścia godzin i albo znajdziemy do tego czasu Sandy Jones, albo wpadniemy po uszy w gówno.

D.D. westchnęła głośno. Dotarli do nabrzeża i skręcili w prawo.

– Mężczyźni są głupi – mruknęła ze zniecierpliwieniem. – No bo, na litość boską, ileż można? Praktycznie co tydzień jakiś przystojny, rozpieszczany przez los facet próbuje rozwiązać problemy małżeńskie, zabijając żonę i twierdząc, że zniknęła. I co tydzień media rzucają się na to...

– Przyjmowaliśmy zakłady. Pięć do jednego na Nancy Grace. Cztery do jednego na Gretę Van Susteren.

D.D. rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– ...i co tydzień – kontynuowała – policja powołuje oddział specjalny, ochotnicy przeczesują las, straż przybrzeżna przeszukuje port... I wie pan co?

Miller miał minę pełną nadziei.

– Ciało żony zostaje znalezione, a mąż dostaje do odsiadki dwadzieścia lat, a nawet dożywocie. Mogłoby się wydawać, że od tej pory choć jeden z tych facetów powinien wybrać zwykły staromodny rozwód.

Miller nie miał nic do powiedzenia.

D.D. westchnęła, przeczesawsza palcami włosy i znowu westchnęła.

– No dobra, instynktowna reakcja. Myśli pan, że żona nie żyje?

– Aha. – Miller powiedział to w sposób rzeczowy. Kiedy czekała, dodał: – Zbita lampa, brak koca. Rzekłbym, że ktoś owinął ciało i je usunął. W koc wsiąkła krew, co tłumaczy brak śladów.

– No tak. Myśli pan, że zrobił to mąż?

Miller z wewnętrznej kieszeni brązowej sportowej marynarki wyjął złożoną żółtą kartkę i podał jej.

– To się pani spodoba. Choć mąż jest, nazwijmy to, niechętny do udzielania odpowiedzi na nasze pytania, bez oporów przedstawił nam przebieg swojego wieczoru, podał nawet nazwiska i numery telefonu osób, które mogą potwierdzić miejsce jego pobytu.

– Przedstawił listę alibi? – D.D. rozłożyła kartkę i przeczytała pierwsze nazwisko na liście: Larry Wade, komendant straży pożarnej; następnie James McConnagal z policji stanowej Massachusetts; potem trzy kolejne, tym razem z policji bostońskiej. Czytała dalej. Jej oczy robiły się coraz większe, a dłonie zaczęły drżeć z ledwie powstrzymywanej wściekłości. – Niech pan powtórzy, kim, u diabła, jest ten koleś?

– Reporter „Boston Daily”. Wczoraj wybuchł pożar. Twierdzi, że tam był razem z połową bostońskich stróżów prawa i opisywał wydarzenie.

– Ożeż ty. Dzwoniliście już do kogoś?

– Nie, i tak wiem, co usłyszę.

– Widzieli go, ale go nie widzieli – rzuciła D.D. – Jest pożar, wszyscy zasuwają. Może poprosił każdego z nich o słówko dla prasy, wtedy zwrócili na niego uwagę, a potem się wymknął...

– Aha. Jeśli chodzi o alibi, to ten koleś jest nie do pobicia. Sześcioro naszych ludzi potwierdzi, gdzie był wczoraj w nocy, nawet jeśli przez jakiś czas w ogóle go tam nie było. A więc – Miller wyciągnął w jej stronę palec – nie może się pani nabrać na wygląd pana Jonesa. McDreamy to także McSpryciarz. To takie niesprawiedliwe.

D.D. oddała mu kartkę.

– Ma adwokata?

Dotarli do końca ulicy, odwrócili się i ruszyli z powrotem. Szli teraz pod wiatr, jego siła przyciskała ubrania do ich piersi, a twarze atakowały kłujące słone kropelki.

– Jeszcze nie. Po prostu nie chce odpowiadać na nasze pytania.

– Zaprosiliście go do komisariatu?

– Chciał, żeby mu pokazać nakaz aresztowania.

D.D. uniosła brew. A więc McDreamy rzeczywiście był McSpryciarzem. A przynajmniej wiedział więcej na temat swoich konstytucyjnych praw niż przeciętny obywatel. Interesujące. Opuściła głowę, aby uniknąć wiatru.

– Żadnych śladów wtargnięcia z użyciem siły?

– Nie, a musi pani wiedzieć, że zarówno główne, jak i boczne drzwi są ze stali.

– Poważnie?

– Aha. Z zasuwami od wewnątrz i na zewnątrz. Och, i znaleźliśmy drewniane kołki powbijane w większość ram okiennych.

– Nie wierzę! Co powiedział o tym mąż?

– To jedno z tych pytań, na które odmówił odpowiedzi.

– Jest tam system alarmowy? Może kamera?

– Nie i nie. Nie ma nawet kamerki sprawdzającej nianie.

Pytałem.

Zbliżali się do domu, uroczego bungalowu z lat pięćdziesiątych – wyglądało na to, że ma więcej zabezpieczeń niż Fort Knox.

– Zamki od wewnątrz i na zewnątrz – mruknęła D.D.
– Żadnej kamery. Zastanawiam się, czy chodzi w tym o to, żeby trzymać kogoś z dala od domu, czy żeby trzymać kogoś w środku.

– Myśli pani, że znęcał się nad żoną?

– Nie byłaby to nowość. Wspominał pan coś o dziecku?

– Czteroletnia dziewczynka. Clarissa Jane Jones. Mówią na nią Ree.

– Rozmawialiście już z nią?

Miller zawahał się.

– Mała cały rano przesiedziała na kolanach ojca, wyglądała na dość zaszokowaną. Nie przypuszczam, żeby ten facet pozwolił nam porozmawiać z nią na osobności, więc nie naciskałem. Uznałem, że pogadamy z obojgiem, kiedy będziemy mieć nieco więcej amunicji.

D.D. pokiwała głową. Przepytывanie dzieci nie należy do przyjemnych zadań. Niektórzy detektywi mają do tego dryg, inni nie. Po niechęci Millera wnioskuje, że on należy do tej drugiej grupy. I dlatego właśnie to ona będzie musiała się tym zająć.

– Mąż jest zamknięty? – zapytała.

Weszli po schodkach i stanęli przed jaskrawozieloną wycieraczką, na której niebieskie słowo *Witamy* było otoczone mnóstwem zielonych i żółtych kwiatków. Według D.D. taką właśnie wycieraczkę mogła wybrać mała dziewczynka ze swoją matką.

– Ojciec i córka siedzą w pokoju dziennym. Zostawiłem z nimi funkcjonariusza. To jedyne, co mogę zrobić w tej chwili.

– W tej chwili – podkreśliła. – Przeszukaliście dom?

– W dziewięćdziesięciu procentach.

– Samochody?

– Też.

– Budynki gospodarcze?

– Też.

– Sprawdziliście miejscowe sklepy, sąsiadów, przyjaciół, krewnych i współpracowników?

– W toku.

– I nigdzie ani śladu Sandry Jones.

Miller zerknął na zegarek.

– Mniej więcej sześć godzin po zgłoszeniu męża nie ma śladu po dwudziestotrzyletniej białej kobiecie, Sandrze Jones.

– Ale macie potencjalne miejsce zbrodni, czyli sypialnię państwa Jonesów, potencjalnego świadka w osobie czteroletniej córki Sandry i potencjalnego podejrzanego w osobie męża Sandry, dziennikarza. Takie jest podsumowanie?

– Takie jest podsumowanie. – Miller pokazał na drzwi, wskazując pierwsze objawy zniecierpliwienia. – Jak pani chce to rozegrać: dom, mąż czy dzieciak?

D.D. położyła dłoń na gałce u drzwi. Jej reakcja była instynktowna – znieruchomiała na moment, aby ją przemyśleć. Tych kilka pierwszych godzin, kiedy jest zgłoszenie, ale jeszcze nie ma przestępstwa, zawsze jest krytycznych dla śledztwa. Dysponowano podejrzeniami, ale nie było jeszcze mowy o

prawdopodobnym motywie; istniała osoba, którą należało się zainteresować, ale jeszcze nie główny podejrzany. Właściwie mieli jedynie wystarczająco dużo sznurka, żeby się powiesić.

D.D. westchnęła, zrozumiała, że nieprędko wróci do domu, i dokonała wyboru.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).